

Kołtuny trzymają się mocno...

Agata Araszkiewicz

Kwestia tożsamości narodowej jest właściwie w Polsce najważniejszą kwestią nowożytności (i nowoczesności). W zależności od sposobu jej powstawania znajdujemy najróżniejszy przekrój sporów historycznych o polskie dziedzictwo i teraźniejszość. I choć od czasów romantyzmu bez roztrząsania „sprawy polskiej” nie sposób wyobrazić sobie polską tożsamość, zaskakujący okazuje się brak jakiegokolwiek pozytywności z tym związany. A zwłaszcza ujawnienie braku tej pozytywności, które jest jedną z największych deziluzji okresu transformacji. Formuła „polskość-jako-brak” to jedno z najbardziej przewrotnych historiozoficznych objawień, z jakim musimy dzisiaj się zmierzyć. I choć Polacy rzekomo „wygrywają” transformację (są ciągle liderami zmian w tej części Europy), ich poczucie niedosytu, niezadowolenia i nieprzystosowania się wzmacnia, zwłaszcza w granicach ojczystego kraju. Od czasu Wielkiej Emigracji zmieniło się tyle, że dzisiaj wyjeżdża się bądź marzy o tym dobrowolnie. To zaś, co w tożsamościowej formule polskości pozostaje najbardziej niespełnione, ułomne i niespokojne, to ciągła nieumiejętność mierzenia się z cywilizacyjnymi wyzwaniami.

Przytoczmy terapeutyczną opinię amerykańskiego profesora socjologii Philipa Zimbardo, wystosowaną do Polaków: „Powinniście się bardziej cieszyć teraźniejszością i uczyć, jak wytyczać ścieżkę, by osiągnąć dany cel, a mniej rozpamiętywać nieustannie to, co było”. No chyba, żeby nieustannie (również terapeutycznie) robić krytyczne, konstruktywne re-lektury przeszłości, by móc lepiej „wytyczać nowe ścieżki”. Czym właściwie jest ów „brak” i jakie miał w historii odslony?

Francuski oświeceniowy myśliciel, Gabriel Bonnot de Mably (warto podkreślić nasz szacunek do wielbicieli czy fascynatów polskości) w okresie konfederacji barskiej napisał *Rękopisy: Narady nad sprawami Polski*, dzieło z radami dla Rzeczypospolitej. Mimo głębokiej wiary, że jego przemyślenia wpłyną na poprawę polskiego ustroju, po odwiedzinach w nadwiślańskim kraju optymizm francuskiego arystokraty trochę osłabł. Nade wszystko uderzyły go kłębiące się na polskich głowach kołtuny – nazwane z łaciny *plica polonica*. Głowy „w Polsce są bardziej dotknięte i bardziej narażone na różne choroby niż inne części

ciała” – notował. Podróżnik dał wyraz swojemu zdziwieniu w antropologicznych uwagach na temat różnych guzów, narośli, obrzęków, ataków epilepsji i dziwnych zawrotów głowy. Wedle niego podczas takich ataków Polacy „tracą wszelkie zmysły, przestają widzieć, nic nie słyszą, biegają, wydają przenikliwie okrzyki albo przeraźliwie wyją”. Może gdyby chodziło tylko o patologie, sprawa nie byłaby tak drastyczna. Jednak prekursor socjalizmu utopijnego i rewolucji szybko połączył zachowania Polaków z ich sposobem rządzenia. „Polityka nie będzie szczęśliwsza w tych kuracjach niż medycyna” – pisał z rezygnacją. Wielki sympatyk „rzymskiej” Rzeczypospolitej z jej wolnościami szybko uznał, że „leczenie tych ludzi i ich ustroju wychodzi poza granice racjonalności”.

Nie skończyło się jednak na małym prywatnym rozczarowaniu – opinia „zapętlonych głów” przylgnęła do Polaków na dobre. Sam Wolter pod wpływem listów od carycy Katarzyny postrzegał Polskę jako kraj „wirujących kołtunów”, gdy czytał, że w kraju nad Wisłą „każda głowa jest wirem, który kręci się bez przerwy, a jeśli się zatrzymuje, to tylko przez przypadek, nigdy dzięki mądrości czy właściwemu osądowi”. Podobnie potraktowali Polskę encyklopedyści – Diderot i d’Alembert miast osławionej demokracji sarmackiej widzieli raczej kraj anarchii i bełzadu. W ten sposób w dobie oświecenia Polacy zyskali opinię ludu półdzikiego, „irokezów Północy”, anarchicznych głuptasów, co skutecznie ułatwiało propagandę zaborców. Można jednak zadać pytanie, czy fantazmat *pllica polonica* – „wirującej głowy”, symbolu kultu anarchii pod pozorami prawa, nie ustrukturował na stałe polskiej wyobraźni?

Jak pisze współcześnie Joanna Tokarska-Bakir, autorka znakomitego eseju Rzeczy mgliste, przez wieki „z Polakami kojarzyło się hodowanie kołtuna [...], czyli kędziorów na karku,

których «ucięcie przyprawia o utratę wzroku»”. W jednym ze swoich publicystycznych felietonów Magda Środa dodaje: „Kołtuny masowo zapuszczano, bo miały chronić przed diabłem i szaleństwem. „Najbardziej swojski” i dający najlepszą ochronę „był kołtun gęsty, tłusty, matowy i długi”. Filozofka kontynuuje: „Jeden z okazów prawdziwego kołtuna polskiego (*pllica polonica*) można zobaczyć w Muzeum Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego, [...] eksponat to bardzo okazały (po rozwinięciu mierzy półtora metra)”. Wedle Tokarskiej-Bakir kołtun był także synonimem „opilstwa i obżarstwa, szowinizmu” („miłośnika samego siebie”), obskurantyzmu, dewocji i pieniacstwa.

Eseistka analizuje zabawnie specyfikę czegoś, co określa się jako „narodowy charakter”. „To temat równie niebezpieczny jak płeć i rasa – konkluduje – mówić o nim, to piętrzyć różne rodzaje nieporozumień”. A jednak charakter narodowy (zwłaszcza cudzy!) zdaje się istnieć „i drwi sobie z kłopotu, jaki nam sprawia”. Autorka przytacza polskie stereotypy na temat innych narodów, podkreślając, że „czy istnieje i na czym polega jego własny charakter, nie bardzo jednak Polakowi wiadomo”. „Dramatyczne pozy”, „roztrząsanie złóż i zapożyczeń”, oddzielanie „swojszczyzny” od tego, co obce – oto mimowolne polskie reakcje odnoszące się do niepewności własnej tożsamości. Niepewności związanej nie tylko z własnym, rodzimym „wirem”, ale także i z tym, jakie wrażenie robi on na narodach postronnych.

Pisałam już na łamach tej rubryki wielokrotnie o rozmaitych „pęknięciach” i „przepełnieniach” związanych z polskim niedoborem tożsamościowym. A to przy okazji grobów smoleńskich i ich „prawosławnych”, przypominających ikony zdjęć żałobnych, symbolicznie znamionujących głębszy konflikt, jakim okazała się katastrofa smoleńska. Wniosła ona +

dotatkowo potężną wątpliwość: do jakiej cywilizacji właściwie należymy? Czy do technokratycznie sprawnej, technologicznie rozwiniętej cywilizacji zachodu, która szczyli się wysokimi procedurami bezpieczeństwa i troską o funkcjonalność swych systemów? Czy do emocjonalnie rozchwianej, żyjącej kompensacyjnymi mitami podmywanymi stałym negocjowaniem z własnym poczuciem niższości cywilizacji wschodu? (Specjalnie używam tu kolonizacyjnych, przejawskrawionych i zafalszowanych kalk w nakreśleniu tej dychotomii). Pisałam też o podobnie „przepełowionym” sarmackim dziedzictwie, a właściwie o sarmackim zawieszaniu między Wschodem a Zachodem. Ułomna, ekonomiczna baza demokracji szlacheckiej (wtórny, nienowoczesny i nierozwojowy, eksploatacyjny feudalizm) obfitowała w sielankowe, kultuwujące „złotą przeszłość” wzory życia. Sarmacki, orientalny, antyzachodni przepych (futra, klejnoty, obżarstwo, zdobienia) był rodzajem halucynacji, pokrywającej całkowity brak politycznego rozwoju nowoczesnego społeczeństwa. Pewny swej tożsamości Sarmata wchłaniał wschodniość, równocześnie kwestionując swoją zachodniość. Ujawniał tym samym swoistą dwutorowość kultury polskiej: jej wewnętrznie pękniętą zachodnią wschodniość i wschodnią zachodniość, a także postępujące dystansowanie się wobec cywilizacji Zachodu.

Dwutorowość polskiej cywilizacji zwłaszcza dzisiaj, w toku wzmożonej walki o „narodowy charakter” – bo czym, jak nie tym właśnie, jest okres transformacji – przybiera na aktualności. Nasza „wschodniość” – którą rozumiem jako umowny historyczny skrót, obejmujący nie tylko PRL-owską zależność od Moskwy, ale i upodobania sarmackie, a więc dystans do Zachodu – każe nam ciągle czuć się w demokracji nie do końca pewnie. Wobec obudzonego demona „polskości jako braku”, kompleksu martyrologicznego, odziedziczonego po epi-

goństwie romantycznym (mam tu na myśli zamienianie w narodowy kicz wolnościowej i pluralistycznej romantycznej historiografii), żyjemy w czasach kompletnego ideologiczno-politycznego „zawirowania”. Nie wiadomo, jak nadrobić lekcję nowoczesności, jak upolitycznić odnoszące się do indywidualnych praw jednostki cele czy jak skutecznie wprowadzić do mainstreamu treści związane z emancypacją kobiet i mniejszości seksualnych.

Pisałam też tutaj o antykobiecych kryzysach ofiarniczych nowej polskiej demokracji jako o rodzaju politycznej farsy. Symboliczna scena walki, w której kobieta posiadająca jakąś publiczną rangę (np. kobieta artystka) atakuje władzę Kościoła, wyznacza nieustępliwy rys transformacji (scena ta unaocznia immanentną sprzeczną relację między kobietą a polską sceną publiczną). Palenie na stosie artystek wizualnych (Katarzyna Kozyra, Dorota Nieznalska) to rodzaj „zageszczenia polskiego koftuna”. W przypadku Nieznalskiej (obnażony mężczyzna na krzyżu – nic bardziej typowego, zdawałoby się, w arcywspółczesnej ikonografii religijnej) jej ofiarniczy taniec był prawdziwą tragedią młodej kobiety, która „dotknęła” toposu-relikwii polskich procesów transformacyjnych, ukrywających swoją niepewność w fundamentalnej, katolickiej, zaciętrzewionej afirmacji. Polskiej historii zawdzięczamy sarmacki mit „tolerancji” wyznaniowej i społecznej, ale początki transformacji ujawniają bardziej mityczność owej tolerancji niż jej tolerancyjną siłę. W zmaganiach z nowoczesnością Polska ze swą niejasną tożsamością słowiańską, katolicką i europejską próbuje dziwnej drogi gospodarczej emancypacji kosztem rozwoju społecznego myślenia emancypacyjnego. Z jednej więc strony – turbokapitalizm, z drugiej – ograniczenie praw kobiet i wprowadzenie religii do szkół wyznaczają główne kierunki zmiany. Kościół jako symboliczna ostoja

Polaka-katolika (sarmackiego tworu), zapewniający poczucie swoistej odrębności oraz wyższości wobec cywilizacji Zachodu (Polacy jako ostoja wartości) i Wschodu (Polacy jako okno na świat), stał się ikoną społecznej i ideologicznej zmiany. Tymczasem zarówno polski katolicyzm, jak i mit sarmackiej wyjątkowości (przerobiony później na mesjanizm romantyczny, a zwłaszcza kiczowata martyrologia, która z niego została) są niczym innym niż kontynuacją mitów kompensacyjnych, podszytych poczuciem niższości i pełniących funkcję pocieszycielską w głębokiej wyobraźni zbiorowej kraju, który tak jak nie poradził sobie z nowożytnością (w której zniknął z mapy Europy), tak i nie radzi sobie z nowoczesnością. Projekt Polski transformacyjnej pod względem społecznym i mentalnościowym okazał się ciasny, ograniczony, przesiąknięty ideą cenzury i lękiem przed konfrontacją, przed samokwestionowaniem czy transgresją. W najściślejszym sensie okazał się nietolerancyjny właśnie.

Antykobiece kryzys ofiariczny nie może przynieść oczyszczenia, problemy bowiem postawione są w nim fałszywie. Jedno tylko w tej sprawie się na pewno utrwaliło – kobieta znakomicie się nadaje na kozła ofiarnego polskiej sceny publicznej. I ten scenariusz będzie powracał, chociażby prawem „farsy” (w myśl zasady, że ważne wydarzenia historyczne zdarzają się dwa razy...). Tak było w przypadku kolejnego „polowania na czarownice” – afery politycznej Wandy Nowickiej. Tak to już jest, że jeśli chodzi o kobietę na polskiej scenie publicznej, znika cała jej „sprawa”, o którą walczy, i cała jej podmiotowość – pojawia się zaś jej kobiecość jako funkcja męskości, jej kobieca wtórność i zależność regulowana przez „lojalność” i „wierność” męskiemu autorytetom. Polskie media, polski dyskurs publiczny i polska mentalność nie są w stanie udźwignąć innej analizy. Ponadto chyba tak to już jest z polską

nowoczesnością, że wszystko, co postępowe, musi znaleźć się w niej prawem kaduka, prawem farsy. Bez poszerzenia świadomości i feministycznej rewolucji w polskiej mentalności nigdy nie odnowimy idei tolerancji, a pierwszym odruchem wobec kobiet mających odwagę prezentowania (nawet w dosadny sposób) swoich ideologicznych opinii długo jeszcze będzie bezwarunkowy odruch karania.

Ostatnie aktualności prasowe, czyli kampania „przeciwko ideologii gender”, próba zaostrzenia ustawy aborcyjnej czy, ogólniej mówiąc, napięcia związane z prawami rozrodczymi i szacunkiem wobec praw kobiet, uparcie każą nam obserwować ten antykobiecego chocholi taniec polskiej demokracji. Niejednokrotnie w sposób fantazmatyczny dynamika sceny polityczno-społecznej wydaje się aluzją do zakodowanego w naszej pamięci innego „wiru”. Mam na myśli słynny symbolistyczny obraz Jacka Malczewskiego *Melancholia* – spętany husarski korowód wiruje w zabójczym tańcu wokół własnej osi, podczas gdy ubrana na czarno kobieta (alegoria Polonii w żałobie) spokojnie i z rezygnacją (opuszczając prawdopodobnie izbę parlamentarną) ewakuuje się przez okno.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego Polacy mają problem z byciem „panami zmian” we własnym kraju? Mają trudności z utożsamianiem się z interesem publicznym, cechuje ich nieufność i nieumiejętność współpracy, tworzą słabe wspólnotowe więzy, koncentrując całą energię na konserwatywnie rozumianym modelu rodziny jako ostoi tradycji. Nad wartości indywidualne nadal przedkładają wąsko rozumiany interes swej jasno zdefiniowanej, „swojskiej” grupy. Konserwująco-konserwatywny narodowo-religijny model Polaka-katolika stał się jedyną matrycą agresywnej i defensywnej, zwróconej wewnątrz samej siebie polskiej tożsamości, wzmacniając tym samym milionowe +

fale emigracji na Zachód, która ma również podłoże ekonomiczne.

Polska funkcjonuje ciągle na zasadzie „semi-peryferii”, opisywanej jako obszar, który nie znajduje się na zewnątrz, ale też i nie całkiem wewnątrz centrum. Charakterystyczną cechą peryferii i semi-peryferii jest ich kultura, która zawsze, w mniejszym lub większym stopniu, nawet gdy skupia się na tematach egzystencjalnych czy jednostkowych, pozostaje rodzajem „metafory narodowej”. Jesteśmy i czujemy się ciągle zmuszeni mówić i myśleć o Polsce tak, jakby paradygmat romantyczny, mimo że jego kres w 1989 roku ogłosiła Maria Janion, nigdy się nie skończył. I nie zamierzał skończyć.

Jedną z odpowiedzi może być lęk przed konfrontacją z niepewnością naszej własnej tożsamości, która wobec wyzwania, jakim był Okrągły Stół i upadek muru berlińskiego, nie potrafiła się zmierzyć z postulatami nowoczesności. Zamiast przepracować narodowe mity w stronę otwartości, pluralizmu i głębokiej cywilnej wolności, Polacy masowo (pod wpływem Kościoła i uzależnionych od niego politycznych elit) zastosowali konserwatywny plaster na pilnie strzeżoną, wielką narodową „ranę”. Jednym z przykładów tej dynamiki może być polityka historyczna i historyczny kult wokół powstania warszawskiego, któremu w cywilnej, antyheroicznej optyce trudno przyznać ów legendarny nimb wielkości.

„Polskość-jako-brak” (określenie Jana Sowy) i „polskość jako pielęgnowanie rany” potęgują tożsamościowe zagubienie Polaków, którzy nie czują się ani podmiotami historii, ani „właścicielami” swojej własnej rewolucji. Znany historyk idei Andrzej Leder proponuje używać terminu „prześniona rewolucja”, który rozciąga na całość wydarzeń prowadzących Polskę w stronę nowoczesności. Ze względu

na dynamikę drugiej wojny światowej i ustrój PRL-u autor podkreśla, że Polacy rozwinęli w sobie poczucie historycznej krzywdy, które uniemożliwia im konfrontację z nimi samymi. Porównuje ten stan istnienia do trwania w onirycznym zawieszeniu, rodzaju psychotycznej iluzji, który ma charakter historyczno-społeczny. Polacy zbiorowo nie rozumieją swej historii współczesnej i doświadczają jej na prawach snu, uchylając się w logiczny sposób od konsekwencji i zderzenia z rzeczywistością. Jak śniący podmiot żyją w poczuciu (odwiecznej) niewinności, swoistym schizofrenicznym oddzieleniu od rzeczywistości i w poczuciu przymusu (przyjemnej) pasywności, których poszczególne momenty lekkiego przebudzenia (takie jak moment „Solidarności”) nie są w stanie zaburzyć. Dlatego na pytanie, kto ukradł Polakom ich historię, zwłaszcza gdy czują się oni po raz kolejny przez nią oszukani, należy odpowiedzieć: „Oni sami. Ich własny sen”. Pozostaje domniemywać, czy jakieś przebudzenie jest tu w ogóle możliwe, bo zapewne oznaczałoby ono konieczność odcięcia nie tylko kołtuna. ●

Artykuł jest skróconą wersją tekstu z katalogu wystawy **Gorzki to chleb jest polskość**, Galeria BWA Jelenia Góra, wrzesień 2014. Dziękuję pani Janinie Hobgarskiej za zaproszenie mnie to tego projektu.